

pozostawałem w ściślejszych stosunkach z moim szwagrem. Nie mówił ze mną nigdy o interesach zakładu. Muszę jednak zaznaczyć, że Berthaut był poniekąd wskazany...

— Dlaczego?

— Jako człowiek, zasługujący na zafanie i doświadczony specjalista. Po Mikołaju Sempuis, którego ze względu na liczne jego zajęcia wystać nie było można, Berthaut jest najstarszym dozorcą w zakładzie, najinteligentniejszym i najsilniejszym z pośród całego personelu służbowego, a przytem dzięki przyzwoitej powierzchowności, posiada najwłaściwsze warunki do reprezentowania zakładu na zewnątrz. Nieobecność jego nie miała wielkiego znaczenia, bo służba przy panu Liborda nie wymagała szczególnej pilności. Pacjenta z Pawilonu Bzów nie traktowano tu jak obłąkanego.

Guillaume zdawał się ważyć w myśli objaśnienia Marceliego.

— Wszystko to wydaje się pozornie słusznem — rzekł nareszcie. — Zatem, wyłączwszy z czwórki pana i tego człowieka, pozostaje nam Mikołaj Sempuis i doktor Jintot.

Marceli wybuchnął:

— Chciej, panie komisarzu, nie zapominać, że Sempuis służy w domu mego szwagra przeszło lat dwadzieścia siedm... Pracował tu już za życia ojca doktora. Dyrektor pokładał w nim najzupełniejsze zaufanie... Na życiu jego niema najmniejszej plamy. Ożeniony z młodą i uroczą kobietą, zadowolony jest ze swego losu, posiada bowiem oszczędzony kapitał, od którego procent zapewni mu byt niezależny po opuszczeniu służby. Nic nie wskazuje, aby popełnił straszną zbrodnię, przygotowaną z cyniczną bezczelnością i dokonaną z niezwykłą energią, na którą człowiek taki jak Mikołaj, liczący lat sześćdziesiąt dwa, zdobyćby się nie zdołał.

Na twarzy Guillaume'a uwydatnił się wyraz wątpliwości.

— Och! wszystko, co pan powiedział, niczego nie dowodzi. Fizycznie wygląda on na mężczyznę pełnego sił, zdolnego popełnić czyn podobny, nikt zaś nie jest w stanie stwierdzić, co dzieje się w mózgu człowieka, marzącego o zdobyciu tak olbrzymiej fortuny, jak fortuna pacjenta z Pawilonu Bzów, zwłaszcza, gdy tym człowiekiem jest skromny dozorca w domu waryatów.

Julia, słuchająca uważnie całej dyskusji, dorzuciła do niej własne spostrzeżenie:

— Sempuis jest człowiekiem skrytym. Co myśli, nigdy odgadnąć nie można. Ubóstwia żonę, lecz jest o nią szalenie zazdrosny, a zachowuje się względem niej nieraz jak grubianin. Obecnie prowadzi się dobrze, lecz mąż mój mi mówił, że niegdyś, gdy był żołnierzem w armii kolonialnej w Tonkinie, popełnił podobno jakąś straszną awanturę...

Guillaume powiedział stanowczo:

— Koniec końców, nic w zasadzie nie zabrania posądzać Mikołaja Sempuis'a o popełnienie zbrodni.

Marceli odparł z uniesieniem:

— Nie, nie! Nigdy nie uwierzę, aby ten człowiek dopuścił się tak ohydnych czynów! Jeszcze, gdyby go tylko oskarżano o zabicie cudzoziemca, mógłbym się zawałać... lecz żeby podle zamordował doktora Manescault, swego pana i przyjaciela, tego żadnym sposobem przypuścić nie mogę!

Guillaume uśmiechał się, słuchając gorąco przez młodzieńca wygłoszonej obrony.

— Proszę pana, żaden z nas, należących do mojego zawodu nie liczy się z wdzięcznością i innymi szlachetnymi ludzkimi uczuciami, bo gdybyśmy je brali w rachunek, byłibyśmy narażeni na tysiączne zawody. Zresztą, ileż to razy tajona nienawiść, z powodu nieznanego ogółowi faktów, kryje się pod pozorami przyjaźni i życzliwości! Na przykład: Sempuis ma ładną żonę i jest podobno o nią wściekle zazdrosny. Czemużby zatem nie mógł żywić zawiści do pana doktora? Czy jesteś pan zupełnie pewny, że dyrektor nie dał powodu do obudzenia zazdrości w sercu swego podwładnego?

Marceli zaprzeczył stanowczo.

— O! to nie! Szwagier mój miał wady, nawet wielkie, lecz miłość, a raczej do ostatecznych granic

posunięta namiętność, jaką gorzał dla mojej siostry, wyłącza wszelkie przypuszczenia, aby mógł i chciał ubiegać się o względy Ludwika.

Komisarz milczał czas jakiś.

Po chwili jednak zaczął mówić znowu:

— Zbadajmy teraz okoliczności, odnoszące się do doktora Jintot...

Lecz właśnie, gdy Marceli zamierzał wystąpić gwałtownie przeciw lekarzowi asystentowi zakładu, dał się słyszeć głos jednego ze służących:

— Panowie sędziowie przyjechali i wzywają panią i pana Robertina.

Julia, posłyszawszy wezwanie, zatrzęsła się cała, przejęta obojętnością ją trwogą, lecz Guillaume z ojcowską niemal dobrocią uspokajał młodą kobietę, starając się wzbudzić w jej sercu odwagę:

— Niechże się pani nie lęka! Po odkryciach, jakich dokonaliśmy dzisiaj, przysiadz mogę, że nic nie grozi ani pani, ani jej bratu, ani panu Marsol.

— Wszakże — zauważył Marceli — sędzia śledczy nie jest powiadomiony o dzisiejszych pańskich poszukiwaniach?



— Ależ! Ja tych kluczy nie miałem! — krzyknął Marceli.

— Niezawodnie! Jednakże, nie przyznając się do roli jaką tu odegrałem, zawiadomię pana Deverrier jak najspieszniej o wszystkim, co będzie mogło mu posłużyć do skierowania śledztwa na właściwą drogę. Możecie państwo liczyć na to bezwzględnie. Obecnie, gdy was badać będzie, starajcie się mówić jak najmniej, a przede wszystkim nie okazujcie pomieszczenia i obawy... Teraz zaś, zejdźmy do parku razem. Jestem tak dobrze przebrany i ukształtowany, że mogę śmiało przesunąć się niepoznany przed oczami wszystkich sędziów, jakich Paryż posiada w swoich murach. Nie ukrywajcie państwo przed nim wcale, że wezwaliście na pomoc detektywa, który podjął się odszukać prawdziwego mordercę. Jest to prawo przysługujące wam w całej pełni.

Guillaume w rzeczy samej poznęknął się ze „swymi klientami“ ostentacyjnie, w pośrodku głównego podwórca domu waryatów.

ROZDZIAŁ VI.

Sensacyjna indagacja.

Działo się to we środę, w tydzień po podwójnej zbrodni, spełnionej w Villeneuve, w domu obłąka-

nym. Gwałtowna burza znacznie oziębiła powietrze. Od dwóch dni czarne chmurzyska pokrywały niebo nad Paryżem, z których od czasu do czasu lał deszcz rześisty, przejmujący nieznośnym chłodem. Chociaż to był miesiąc lipiec, brzydka i przykra pogoda, czyniła go podobnym raczej do listopada.

Doktor Jintot, smagany wiatrem i ulewą, kroczył zwawo po bulwarze. Doszedłszy do Pałacu Sprawiedliwości, wpadł do wiodącego doń wejścia z prawej strony i klnąc niemiłosiernie, ale po cichu, zamknął parasol, z którego woda spływała ciurkiem. Poczem, oryentując się naprzód sam, następnie prosząc o informacje spotkanych woźnych, podążył do biura sędziego śledczego, do którego wezwany został na popołudnie.

Na końcu długiego korytarza wszedł na schody, aby nimi dostać się na trzecie piętro. Tam posługacz biurowy zawiadomił go, że znajduje się właśnie u celu swojej wędrówki.

— Chciej tu zaczekać... Przywołany pan będzie wkrótce.

W ciemnym przedpokoju jakiś człowiek powstał z ławki i ukłonił się doktorowi.

Ten, z powodu panującego tu przez chwilę zmroku, naprzód zmrużył, potem przetarł oczy, nie mógł bowiem od razu poznać osoby, witającej go ukłonem.

— To wy, Berthaut?... Czy jesteście wezwani także?

— Tak, panie doktorze — odparł dozorca.

Dwuznaczny ton, z jakim te wyrazy wymówione zostały, sprawił, że Jintot cofnął się nieco w tył, uczuł w nich bowiem jakąś nieokreśloną, ukrywaną niechęć i nieprzychylność.

— No! no! — pomyślał i połknął życzliwe słowa, które chciał pozdrozić dozorcę. Poczem, jakby wstrząśnięty febrycznie, zaczął się przechadzać z jednego końca przedpokoju w drugi.

Tymczasem Maurycy Berthaut usiadł znowu na ławce, wydobył z kieszeni dziennik, rozwinął go i zaczął czytać spokojnie. Był to człowiek średniego wzrostu, lecz ze względu na rozrosłe, szerokie i barczyste ramiona wydawał się niższy, niż był w istocie. Ubrany czarno, miał na głowie uniformowy kaszkiet zakładu. Okrągła jego i czerwona twarz, przyćmiona słońcem i czterdziestką, ogolona była starannie. Krótko ostrzyżone czarne i jak szczecina twarde włosy, jeżyły mu się na czaszce niby szczotka. Mógł śmiało uchodzić za przeciętny typ południowca. Istotnie urodził się w Marsylii.

Po niejakiś czasie zawołano:

— Pan doktor Jintot!

Doktor drgnął i zbliżył się do drzwi.

— Jestem.

— Proszę wejść, jeśli łaska. Pan sędzia śledczy czeka na pana.

Wtedy dopiero Jintot dostrzegł, że ławki w przedpokoju wypełnione były licznymi postaciami o twarzach i czołach zmarszczonych, albo na których malował się wyraz mazgajowato-płacziwy lub butny i zaczepny. Byli to ludzie, oczekujący na kolejne wezwanie do pana Deverrier, albo do drugiego sędziego śledczego, zasiadającego w sąsiednim biurze, położonem w końcu korytarza. Gwardzysta municypalny, z rękami w tył założonemi, stał przy oknie i patrzył na deszcz gęstymi strugami zalewający ulicę.

Wrażenie jakiejś dziwnej niemocy i frasnku, jak całun spadło na barki doktora.

Gabinet sędziego zdawał się przytłoczony nizko nad nim opuszczającym się sufitem. Był ciemny, wypełniony stołami, krzesłami i pulkami, ze spoczywającymi na nich aktami.

Przy ogromnem biurku siedzieli naprzeciw siebie: pisarz sądowy, człowiek otyły, o wyblądłej twarzy, oczach przygasłych, bez blasku — i znany nam Deverrier, kręcący się na fotelu nieustannie, ciągle poruszający leżące na biurku przedmioty i szeleszczący papierami, wyciąganymi z aktów.

Rzucił bystre spojrzenie na wchodzącego Jintota.

— A, doktor!... Proszę siadać.

(Dalszy ciąg nastąpi).